

MATT MCGINN

COLDPLAY JAKIEGO NIE ZNALIŚCIE.  
ABSOLUTNIE NIEWIARYGODNA, CHOĆ ZUPEŁNIE  
PRAWOZIWA HISTORIA KULTOWEGO ZESPOŁU.

# COLD PLAY

ŻYCIE  
W TRASIE

SON  
WYDAWNICTWO  
198 000 000



GOLD  
PLAY



MATT MCGINN

# GOLD PLAY

ŻYCIE  
W TRASIE

TŁUMACZENIE  
KAROLINA WANAT

KRAKÓW 2014

MATT MCGINN  
ROADIE. MY LIFE ON THE ROAD WITH COLDPLAY

Copyright © Matt McGinn 2010  
The moral right of the author has been asserted.

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2014  
Copyright © for the translation by Karolina Wanat 2014

*Redakcja i korekta* – Joanna Mika-Orządała, Kamil Misiak / Editor.net.pl  
*Opracowanie typograficzne i skład* – Joanna Pelc  
*Okladka* – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

*Front cover photograph*: © Don Arnold (Getty Images)  
*Photography section* © Guy Berryman, Clare Bristow, Nick ‘Mystic’ Davies, Dan Green, Penny Howle, Carrie Levy, Matt Miller, Kit Simon, John Sault, Tom Sheehan, Sarah Stockton, Kevin Tachman

First published in Great Britain in 2010 by Portico,  
An imprint of Anova Books Company Limited, 10 Southcombe Street,  
London, W14 0RA

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2014  
ISBN: 978-83-7924-214-6





[www.wydawnictwosqn.pl](http://www.wydawnictwosqn.pl)


Szukaj naszych książek  
również w formie  
elektronicznej




 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA [www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

*Dla Mags, mojej prawdziwej miłości, najlepszej  
przyjaciółki i najwspanialszej mamy na świecie.*

*I dla naszej cudownej Mary,  
która, mam nadzieję, pewnego dnia przeczyta tę książkę  
i w końcu zrozumie, gdzie przez ten cały czas zniknął jej  
Głupi Jajogłowy Stary Tatuś.*





# Przedmowa

Matt McGinn – różni ludzie mówią o nim różne rzeczy:

genialny gitarzysta o legendarnych początkach,

który bardziej przypomina jajo niż człowieka.

Żartowniś ciągle opowiadający stare dowcipy.

Niepohamowany flirciarz.

Oddany miłośnik cydru.

Tego jednak jesteśmy pewni:

jest członkiem rodziny Coldplay od samego początku istnienia zespołu,

bardzo go kochamy

i przynajmniej połowa tej książki to pewnie prawda.

Coldplay

The Bakery, listopad 2009



# Podziękowania

Trudno uwierzyć, że w czasach, kiedy większość tego typu wspomnień spisywana jest przez ghostwriterów, napisałem tę książkę samodzielnie. Jednak żaden *roadie* nie jest samotną wyspą, a w szczególności dotyczy to mnie. Dlatego na wstępie chciałbym podziękować kilku osobom i wyrazić dla nich swoje uznanie.

Po pierwsze, muszę uczciwie przyznać, że ta książka nie powstałaby bez pomocy mojego uciążliwego kumpla Grega Parmleya, który nie dawał mi spokoju, namawiał mnie do jej napisania, organizował mi pracę i podjął się zredagowania tekstu. Spojrzał na to przedsięwzięcie z szerszej perspektywy i dzięki niemu dotarło do mnie, że jeśli ta książka nie powstanie, to będę kompletną pipą. Dlatego doszedłem do wniosku, że lepiej po prostu wziąć się do pracy i mieć to za sobą. Dzięki, stary. Czek wysłałem pocztą.

Pozdrowienia dla wszystkich kolegów z tras, o których wspominam i którzy pojawiają się na zdjęciach, a także dla tych, o których w tej książce nie ma ani słowa. Nikt nie został pominięty celowo, po prostu tak wyszło. (Pomimo wysiłków fantastycznych fotografów, których zdjęcia z dumą i wdzięcznością wykorzystałem w tej książce, nie znalazłem praktycznie ani jednego dobrej jakości zdjęcia licznej żeńskiej ekipy, która jeździła z zespołem. Mam nadzieję, że fotka Vicki Taylor wam to wynagrodzi, drogie panie).

Jestem bardzo wdzięczny Jeffowi Drayowi, który w 1996 roku podjął ryzyko zatrudnienia mnie, kompletnego amatora. Dziękuję Nige'owi, Kewowi, Kentowi i wszystkim z Matt Snowball Music za wzięcie mnie pod swoje cenione, doświadczone skrzydła. Muszę również wspomnieć o całej ekipie z mieszczącej się po drugiej stronie ulicy firmy John Henry Enterprise. A także o Mike'u Hillu (efekty i wzmacniacze), Grahamie Nodenie (naprawa gitar), Joem i Flea z Vintage & Rare Guitars

i każdym, kto kiedykolwiek coś dla mnie naprawił, sprzedał mi kostkę czy pożyczył vana.

To przypomina mi o podziękowaniach dla zespołów Ballroom, Cuba, JJ72 i wszystkich innych formacji, które mnie zatrudniły i przy których zbierałem doświadczenia w czasach przedcoldplayowych. Muszę też powiedzieć o tych, którzy przez lata ze mną wytrzymywali, co nie było łatwe. Być może nie poświęciłem wam zbyt wiele miejsca w tej książce, ale wszyscy jesteście częścią mojej opowieści. Spędziliśmy razem wiele wspaniałych chwil i o nikim nie zapominałem.

Chcę również wspomnieć o tych, których nigdy nie zobaczyłem na własne oczy. O chłopaku, który prowadził na dwie zmiany busa z Barcelony do Manchesteru. O dziewczynie, która przez osiem godzin pilnowała tylnej klatki schodowej na Wembley Arenie. O innym *roadie*, który rzucał wszystko, czym właśnie się zajmował, i wpuszczał nas do schowka na sprzęt. O niej, za to, że tam była, śmiała się od czasu do czasu i stanowiła ważną część tego wszystkiego.

Dziękuję ludziom z Portico, a w szczególności Malcolmowi Croftowi, za to, że spodobał mu się pomysł napisania tej książki i że podtrzymał mój entuzjazm. Wielki szacunek dla Jo z Russells za nawigowanie tej skrzypiącej łajby przez mgłę oraz dla Phila Harveya za nieodzowne wsparcie i otuchę. Wielkie podziękowania należą się Caroline Michel – gdziekolwiek teraz jest – która kazała mi zrezygnować z kwiecistego języka i pisać tak, jak mówię. Mam nadzieję, że będziesz się dobrze bawić, czytając tę książkę.

Uznanie dla koncertowych weteranów, którzy poświęcili mnie i Gregowi swój czas i zgodzili się udzielić nam wywiadów: Boba Younga, Scratchy'ego Myersa, Tima Butchera i Robbiego Wilsona. Ich wypowiedzi, które wykorzystałem, dodały całości kolorytu i pozwoliły na spojrzenie z innej perspektywy. Bardzo dziękuję, panowie.

Wielkie dzięki dla Debs Wild i Chrisa Salmona prowadzących stronę internetową Coldplay za to, że pomogli nam odpocząć od tej książki, kiedy razem z Gregiem najbardziej tego potrzebowaliśmy. Pozdrowienia dla Roadie 42, który – i mówię to po raz ostatni – nie jest mną. OK?!

Dziękuję Rolling Stones, Clash, Stray Cats, Jam, Ash, Stranglers, Foals, Kylie, Pixies... ta lista nie ma końca. Sprawialiście, że co chwilę przez trzy i pół minuty świat nabierał sensu. Zresztą dalej tak jest.

Na koniec wielki uścisk dla Jonny'ego i chłopaków z Coldplay za to, że dali mi najlepszą pracę na świecie. W sumie to w tej kategorii mamy remis. Posada w barze Steve'a i Wendy w Village Inn, kiedy miałem piętnaście i pół roku, jako jedyna może się z tym równać.



# Z miłości do Coldplay

## Krzysztof Dokładny & Aleksandra Kielichowska – coldplace.eu

Rok 2005. Poznałem *Speed of Sound* – utwór, który w trakcie słuchania przenikał mnie, wywołując ciarki. Mimo setek odtworzeń ciarki czuję do dziś. Co ciekawe, od razu wiedziałem, że to moja muzyczna droga. Droga, którą chcę podążać coraz dalej i dalej. Szukałem w sieci miejsca, w którym mógłbym podzielić się tą wspaniałą nowiną: „Tak, ja też uwielbiam Coldplay!”. Nigdzie jednak nie zostałem na dłużej, wszędzie czułem się obco. W 2008 roku wpadłem na pomysł założenia forum. Na początku było trudno, ale nie poddawałem się. Moim największym marzeniem było poprowadzenie go w taki sposób, aby stało się najpopularniejszym w Polsce miejscem dla fanów Coldplay. Dzięki pomocy, wsparciu i zaangażowaniu wielu osób moje marzenie się spełniło. Dzisiaj strona i forum Coldplace jest obowiązkowym miejscem odwiedzin każdego miłośnika muzyki Coldplay. Jest czymś na kształt społeczności. Organizujemy zloty, dzięki którym użytkownicy podtrzymują w „prawdziwym” świecie relacje zawiązane w Internecie. Znane są mi również przypadki, kiedy wspólna pasja do muzyki Coldplay połączyła ludzi w pary. Czy to nie piękne?

Uwierzeliśmy w Coldplay tak, jak Matt McGinn, autor tej książki. Uwierzył w nich już w trakcie słuchania pierwszej piosenki i do dzisiaj czerpie z tego faktu satysfakcję. Coldplay stał się jego nową rodziną, a miejsca koncertów i kulisy scen – nowym domem. Kim jest *roadie*, czym się zajmuje, jak odróżnić go od „zwykłego” technicznego? Na te wszystkie pytania Matt odpowiada nadzwyczaj barwnie i interesująco. Oprócz ciekawostek na temat technicznej strony świata koncertów dowiadujemy się wielu faktów o samym zespole i jego członkach. Możemy cieszyć się

Coldplay. Życie w trasie

informacjami, które wcześniej nie ujrzały światła dziennego. Sytuacje z koncertowego życia ekipy opisane są odważnie i bez zbędnej pompatości. Ta książka to gratka dla każdego fana Coldplay, również dla nas.



# Najpiękniejsze piosenki na świecie

**Piotr Stelmach**  
**(Program Trzeci Polskiego Radia)**

Kiedy latem 2000 roku ukazał się debiutancki album grupy Coldplay, czułem niekłamana ekscytację. I właściwie od 14 lat nic się nie zmieniło. *Parachutes* to wciąż moja ulubiona płyta ekipy z Londynu. Nieefektowna, a przynajmniej nie zawsze efektowna muzycznie, ale za to niezwykle oddziałująca na emocje.

Bo czy ten zespół wymyślił muzykę na nowo? Czy nagle okazało się, że właśnie wynaleziono kilka gramów prochu, a my, słuchając piosenek z kolejnych płyt kwartetu, obcujemy z odkrywcami, jakich świat dotąd nie znał? Pewnie nie. Chris Martin, Guy Berryman, Jonny Buckland i Will Champion od półtorej dekady zaopatrują świat w melodie. Wpadające w ucho, skonstruowane z niezwykłą starannością lub zwyczajnie poruszające. Przykładami można zonglować do woli: *Don't Panic*, *Yellow*, *Politik*, *In My Place*, *Speed Of Sound*, *Talk*, *Things I Don't Understand*, *Fix You* i wiele innych.

Kiedy po kilku latach stali się jednym z największych zespołów na świecie, przypomniałem sobie pierwszy utwór z *Parachutes*. Wciąż fascynujące jest dla mnie zestawienie tej dwuminutowej miniatury z faktem, że niewiele później Coldplay był już marką przewodzącą wielkim festiwalom i koncertom, których zorganizowanie równało się wynajęciu największych, oddychających wielotysięcznym tłumem obiektów. Zgarnęli imponującą publiczność, stali się istotnym elementem muzycznej kultury masowej nowego tysiąclecia, zachowując przy tym swoją artystyczną tożsamość i pamiętając, skąd przyszli. Ta książka i postać autora, Matta McGinna, wciąż zresztą o tym przypominają.

Pamiętam tę radochę szalonego kolekcjonera, kiedy parę lat temu podczas porządkowania płyt w jednym z kartonowych pudeł odnalazłem zaginiony – wydawało się, że bezpowrotnie – egzemplarz singla *Shiver*. Pamiętam ekscytację swoją i moich kolegów z Redakcji Muzycznej Trójki, kiedy ukazywał się każdy kolejny album Coldplay. Jej apogeum miało miejsce tuż przed premierą płyt *X&Y* i *Viva La Vida Or Death And All His Friends*, kiedy to próbowaliśmy odgadnąć, co kryje w sobie materiał zapowiadany jako „najpiękniejsze piosenki na świecie”. Piszę o tym, bo te premiery zawsze były swego rodzaju świętem. Nie najważniejszym, nie narodowym, ale jednak świętem. Naszym. Słuchaczy. Fanów.

Matt McGinn nie napisał biografii zespołu Coldplay. Odbieram tę lekturę bardziej jako pamiętnik. Bo ktoś, kto pełni trudną i zarazem barwną funkcję zespołowego *roadie*, wie najlepiej, jak działa taki artystyczno-towarzystki organizm. Fani, studio, single, płyty, trasy, kluby, koncerty, spotkania, rozmowy, kłótnie... Działo się! I wszystko wskazuje na to, że to nawet nie półmetek. A zatem, szerokości!

# Wstęp

Trudno było napisać tę książkę, nie martwiąc się jednocześnie, że zrobię z siebie durnia, szczególnie przed kolegami z pracy. Może i nie byłoby w tym nic nowego, bo w końcu na taką opinię zapracowałem sobie latami. Mimo wszystko za kogo ja się, do diabła, uważam? I dlaczego wydaje mi się, że warto przeczytać książkę o mnie? No dobra, miałem fart i przez długi czas pracowałem przy najlepszych koncertach w branży. Tylko co z tego? Kogo to właściwie obchodzi?

No cóż, przy odrobinie szczęścia na pewno mnie i może nawet parę innych osób. Wiecie, to jest całkiem fajna historia: punk z South Devon przypadkiem dostaje dobrą posadę w branży muzycznej, objeżdża cały świat, robi sporo zamieszania i pije piwo z gwiazdami rocka i kolegami z pracy... Chwileczkę, już na tym etapie brzmi to całkiem niezłe. Rzecz w tym, że nie tylko ja załapałem się na tę przygodę. Wszyscy zaangażowani w tę opowieść wspólnie przeżywają wyjątkowy i niezwykle czas. Do tego dochodzi jeszcze kilku światowej sławy celebrytów, ocean piwa Beck's i wystarczająco dużo mil powietrznych, by doprowadzić do bankructwa Richarda Bransona\*. Możemy ruszać w drogę.

Chciałbym, żeby o tej szalonej podróży czytało się równie fajnie, jak się ją przeżywało i o niej pisało, zarówno każdemu innemu *roadie*, jak i osobom niezwiązanym z branżą. Nie jest to ani biografia zespołu (nad tą chłopaki pracują), ani katalog rockandrollowych ekscesów (jeśli tego szukacie, sięgnijcie po biografię Mötley Crüe *Brud*). Każdemu bardziej lub mniej zainteresowanemu muzyką, kto ma ochotę podejrzeć nasze głupkowane i pokręcone życie w trasie, ta podróż może się spodobać. Powinna również przypaść do gustu wszystkim, których los odmienił się z dnia na

---

\* Richard Branson – brytyjski miliarder, twórca Virgin Group – przyp. red.

dzień i którzy wkroczyli na zupełnie nową ścieżkę odkupienia, zniszczenia czy czegokolwiek. W tej książce znajdziecie też sporo o zespole Coldplay.

No dobrze, może zatem powinienem się trochę uspokoić. To przecież tylko praca. Zarabiam pieniądze i mogę spokojnie spłacać kredyt. Robota jak każda inna, co nie?

No cóż, tak i nie. Każdy kolejny dzień, kiedy zarabiam na życie, hałasując na gitarze, słuchając przy tym wrzasku podekscytowanego tłumu, traktuję jako niepowtarzalny dar. Szczerze, nie mogę się doczekać, kiedy skończę głądzić i wrócę do cholерnej pracy.

Moja historia i przy okazji historia grupy Coldplay to wzorowy przykład opowieści, jakich większość ludzi lubi słuchać. Nie jest to sytuacja „od zera do milionera”, raczej wyważona bajka, która podnosi na duchu i jest niezwykła niczym historia o Kopciuszku i pasującym na jej stopę pantofelku.

Postaram się podsumować to w najbardziej elokwentny sposób. Co powiedziała dojrzała, seksowna Laura San Giacomo do Julii Roberts pod koniec *Pretty Woman*?

„Cholerny Kopciuszek!”

Co powiecie więc na historię o „Cholernym *roadie*”?

Brzmi nieźle, nie?



## Roadie się rodzi i poznaje zespół

Latem 1995 roku wiedziałem już, że mój okres scenicznych wygłupów dobiega końca. Bez względu na to, ile było przy tym zabawy i jak było fajnie, moje dwadzieścia kilka lat pogoni za złudzeniami i prób przebicia się do świata rock and rolla od dupy strony zaprowadziło mnie w ślepią uliczkę. Byłem splukany, łysiałem i, co najgorsze, miałem prawie 30 lat na karku. O mało nie pękł mi kręgosłup od noszenia w górę i w dół po schodach w każdej spelunie od Dawlish po Dagenham moich gitar i wzmacniaczy wartych kilka ciężarówkek. Zagrałem tysiące piosenek dla publiczności liczącej w sumie dziesięć osób. Dotarłem do tego momentu, kiedy na imprezie włączają się światła, choć zabawa nie zdążyła się jeszcze na dobre rozkręcić. Każdy aspirujący Keith Richards udaje, że tego nie widzi, i tak naprawdę bardzo boi się tej chwili. Poważnie, tylko tak daleko da się zajechać na świeżym powietrzu i puszcze fasoli. Śmieciowe umowy, niezgrani członkowie zespołu i minimalne zainteresowanie publiczności robią swoje. Na koniec pojawia się uciążliwa, mroczna myśl, że może to ja się pomyliłem, a nie wszyscy inni. Ta myśl nie daje spokoju.

Nie będę was zanudzał zbyt wieloma mrocznymi pierdołami z przeszłości. To znaczy, nie zrozumcie mnie źle. Podobnie jak większość spędziłem w sumie kilka wspaniałych lat, grając z kumplami. Z całą miłością, wdzięcznością i szacunkiem, pomnę ten fragment mojej historii, choć gdyby nie większość tych na wpół zdesperowanych, upartych ludzi, pewnie nie zwracałbym sobie nawet głowy i co więcej, nigdy nie napisałbym tej książki. Szczęśliwie dla wszystkich, to będzie głównie opowieść o zabawie, radości i zbawieniu. Zresztą czego spodziewacie się po pierwszych rozdziałach biografii? Przecież doskonale znacie te historie: „Pierwszy raz dotknąłem gitary w żłobku w zabitej dechami wiosce. Była pięknego, niebieskiego koloru”, itepe, itede. Nieważne! Przestań się ociągać i przechodź do refrenu, stary!

Skoro już wszyscy tutaj jesteśmy, warto wspomnieć, ile rock and roll znaczy dla mnie, moich kumpli czy po prostu młodych ludzi, którzy przyszedli na świat w połowie lat 70. Dziś trudno w to uwierzyć, ale wtedy muzyka była równie ważna jak piłka nożna, a większość chłopców chciała być albo George'em Bestem albo Markiem Bolanem (albo jednym i drugim, a w tej sytuacji do dyspozycji był legendarny motocyklista Barry Sheene). Podobnie jak w przypadku większości dzieciaków z tamtych czasów mój światopogląd ukształtował się między szóstym a 12 rokiem życia. W tym przełomowym dla mnie okresie moja mama przysłała pewnego dnia z debiutancką płytą Roxy Music i jakby tego było mało, po latach nieobecności pojawił się mój Prawdziwy Ojciec. Chwała mu za to. Być może w ramach ekstremalnego punkrockowego zadośćuczynienia on i jego słodka młodziutka blondwłosa dziewczyna zawieźli mnie w pewne śnieżne święta swoim brązowym vanem Morris Minor aż do olśniewającego Lyceum Ballroom w Londynie, żebym mógł zobaczyć The Clash, którzy wtedy wciąż byli cholernie genialnym koncertowym zespołem.

Ferry, Eno i pozostali zdążyli mnie już do siebie zrazić, ale tak naprawdę po tym wieczorze sprawa była jasna. Ten koncert narobił sporo zamieszania w mojej głowie, sercu i garderobie. Nie dbałem o to, którym muzykiem The Clash będę, tylko jak to osiągnę.

I kiedy.

Widzicie, z branżą muzyczną jest pewien problem. O ile sytuacja jest dość jasna, kiedy wygrywasz Grand Prix F1 lub strzelasz gola dla Manchesteru United na Wembley, o tyle rockandrollowe fantazje mogą się ciągnąć niezrealizowane latami czy nawet dekadami. Zawsze znajdzie się ktoś, jak perkusista Stranglers Jet Black albo Jarvis Cocker z Pulp, kto osiąga sukces, kiedy jest już cholernie stary. Podtrzymuje twoje nadzieje, opowiadając w wywiadach: „Och tak, trzeba robić swoje” albo: „Przez 43 wiosny żyłem z zasiłku i żywiłem się jagodami z ogrodu”. Poza tym bycie w zespole ze swoimi kumplami to w dużej mierze całkowity odlot i/lub ciągłe utrapienie. Nie zauważa się, jak szybko płynie czas, a potem jest już zbyt późno, żeby znaleźć sobie uczciwą robotę.

Zanim powiedziałem sobie dość, najbliższej rockowej nieśmiertelności znalazłem się dzięki pewnej reklamie i kasecie. Przez kilka dni ćwiczyłem na basie, przygotowując się na przesłuchanie do wyśmienitego, postbriitpopowego zespołu Elastica w okresie, kiedy byli jeszcze całkiem niezli. Mój półgodzinny występ zagrany na wydającym mi się wówczas naprawdę fajnym sprzęcie był tak ekscytujący i głośny, że trudno było mi uwierzyć w to, co się dzieje. Poza tym od razu zauważyłem, że żaden z członków zespołu sam nie rozkłada swojego sprzętu. Podejrzanie dokładnie przyklejone taśmą do sceny efekty, większy niż ja wzmacniacz basowy i zdecydowanie zbyt wypolerowane i lśniące jak na tę porę dnia talerze perkusyjne... Pomyślałem, że to musi być zasługa członków ekipy zespołu.

Tak czy owak musiało mi pójść całkiem niezle, ponieważ zostałem zaproszony na kolejne przesłuchanie. Na koniec okazało się jednak, że uroczą Justine Frischmann i pozostali członkowie zespołu zamiast mnie wybrali osobę młodszą, fajniejszą i zdecydowanie mniej zafascynowaną znanymi muzykami. Do tego była odpowiedniej płci. Nie przez przypadek kariera zespołu, począwszy od tej decyzji, zaczęła się chylić ku upadkowi. Byłem zrujnowany, bez grosza przy duszy i w dodatku w nie najlepszym nastroju. Doszedłem do wniosku, że teraz może być już tylko gorzej. Gitarę odłożyłem w kąt i najpierw zostałem sprzątaczem, a później ogrodnikiem.

Nie widziałem dla siebie drugiej szansy. Muzyczny etap mojego życia wydawał się zakończony na dobre.

Jeśli kiedyś zrezygnowaliście z jakiegoś marzenia, to doskonale wiecie, o czym mówię. To przecież nic wielkiego, no nie?

A teraz szczerze. Boli to dziesięć razy bardziej niż nieprzyjemne zerwanie. W sumie nie ma się jeszcze pojęcia, co się straciło, choć w głębi serca już się to wie i trudno się pogodzić z pomysłem, żeby przejść nad tym do porządku dziennego. Chciałem zostać gwiazdą rocka od 1972 roku. Dlaczego nie mogłem być wyjątkowy? Dlaczego tak nagle przestałem spełniać wymagania? Co z tymi wszystkimi latami?

Podobnie jak w przypadku tych, którzy przeżyli to przede mną i po mnie, mój plan, aby poradzić sobie z mrokiem rozczarowania i towarzyszącym mu chłodnym, przerażającym ściskiem w żołądku, polegał na spędzaniu kolejnych wieczorów i poranków pijanym jak bela. Przykładowe życie przeszło obok i na kilka tygodni przybrało beztroską perspektywę, a później uciążliwe pragnienie zamieniło większość dni w prawdziwy koszmar. Musiałem być wtedy najgorszym asystentem ogrodnika wszech czasów. Szczęśliwie dla mnie i dla mojego zirytowanego i równie skacowanego szefa sprawy miały się niebawem zmienić na lepsze.

Przez przypadek podczas jednej z setek pijackich nocy wparowałem przez duże szklane drzwi małego londyńskiego Splash Clubu i zobaczyłem tam Kenickie – młody, świetnie rokujący zespół gitarowy z Sunderlandu, który tworzyło kilka nastoletnich dziewczyn i jeden chłopak. Swoją twórczością rozpalali w słuchaczach (w tym również we mnie) miłość i oddanie. Mogłem być na wpół pijany, niemniej jednak ten ostry, stylowy, punkowy *show*, który dali w wypchanej po brzegi salce, rozbudził we mnie pewne emocje, tak że po wszystkim, obierając podniecenie za przewodnika, podszedłem do wysokiej na pół metra sceny, by przywitać się z moim kumplem Jeffem Drayem, który sam pomagał zespołowi ze sprzętem. Nie po raz ostatni, wrzeszcząc do siebie, odbyliśmy krótką rozmowę. Brzmiała ona mniej więcej tak:

- Nieźle, Jeffrey. Fajny koncert!
- CO? Nic nie słyszę!



– POWIEDZIAŁEM, ŻE FAJNY KONCERT!

– Dzięki! Jestem nieco zajęty... A właściwie... co robisz we wtorek?

Tak to się właśnie stało. Podobnie Townshend powiedział kiedyś do Moona. Nastąpił zupełny zwrot w moim życiu.

Dla tych, którzy nie pamiętają i/lub mogą być zainteresowani, członkowie formacji Kenickie, która swoją genialną nazwę wzięła prosto z filmu *Grease*, byli wymiataczami najwyższej klasy, a co nietypowe dla fajnych zespołów, okazali się fantastycznymi ludźmi. Teksty piosenek pisała Lauren Laverne (tak, ta Lauren Laverne, gwiazda radiowa i telewizyjna) razem ze swoją najlepszą przyjaciółką Marie du Santiago, a ich współpraca opierała się na głębokiej przyjaźni, którą również darzyły uroczą basistkę Emmy-Kate Montrose. Śpiewały we trójkę, a Lauren stała na środku sceny. Tak naprawdę siłą zespołu była wypadkową całej czwórki. Podobnie jak wszystkie najlepsze grupy Kenickie czerpała większość swojej energii z aury, która otaczała członków zespołu i spajała ich ze sobą. Ich zręczliwy i zabawny perkusista Johnny X był i w zasadzie nadal jest niczym starszy brat Lauren. Stanowili zgraną paczkę i ta atmosfera się udzielała. Wyobraźcie sobie, że członkowie The Ramones, Nirvany i The Shangri-Las wyjeżdżają z kina samochodowego i zaczynają się ścigać – być może zrozumiecie, o co mi chodzi.

Powiedzmy sobie jasno: czułem się źle, że moje życie przybrało taki, a nie inny obrót. Straciłem nadzieję, że kiedykolwiek zostanę członkiem The Jam. Kupiłem narzędzia, głany i cały karton tanich, czarnych T-shirtów. Po pierwszych pięciu minutach roboty podjąłem decyzję, że zrobię wszystko, żeby pracować jako ich *roadie*. Może i nie byłem największym specem od gitar i wzmacniaczy w tej branży (dalej zresztą nie jestem), ale jak ostatnio powiedział mi Chris Martin, ciężka praca, znajomości i wsparcie to klucz do przetrwania w tym biznesie. Doświadczenia zespołu Kenickie z ekipą jeżdżącą w trasy były dość ograniczone, co działało na moją korzyść. Poza tym Jeff pokazał mi trochę sztuczek na boku, a do tego ściemniał na mój temat na prawo i lewo („Tak, jeździł z mnóstwem zespołów”). Nikt nie zauważył, że brakuje mi doświadczenia, za to miałem gdzie je zdobywać. Przerażony i jednocześnie przeszczęśliwy nagle

zrozumiałem, że mam teraz gdzie ulokować te wszystkie nagromadzone, nieodwzajemnione ojcowskie, rockandrollowe uczucia i po prostu zacząłem działać jak stary przykładowy supertata. Przebywanie z tymi wystylizowanymi, podróżującymi dzieciakami uszczęśliwiało mnie tak bardzo, że kiedy pierwsza krótka trasa po Wielkiej Brytanii dobiegła końca, rozplakałem się w drodze powrotnej do wynajmowanego wówczas mieszkania. W głośnikach leciał *Super Trouper*, a ja o mały włos nie rozbiłem vana. Moja wiara w sens muzyki gitarowej została odbudowana i przeżyłem kolejne 18 miesięcy niczym uradowany golfem wujek, który ustawia piłeczki na podkładce podczas partii ze swoim chętnym do gry, odnalezionym po latach siostrzeńcem. Zostałem zbawiony!

Niestety po dwóch albumach (z których pierwszy, *At the Club*, trafił w Wielkiej Brytanii do pierwszej dziesiątki najlepiej sprzedających się płyt i przez lata nie stracił nic ze swojego uroku, humoru i piękna), jak to się czasem zdarza, relacje pomiędzy członkami zespołu ochłodziły się i wszystko zakończyło się w klasyczny, łamiący serce sposób. Smutne, ale adekwatne, jako że najlepsza piosenka Kenickie ma w sobie tę odrobinę tragizmu, a sam też widziałem, jak przeżywają, mówiąc ogólnikowo, kilka smutnych momentów. Niektórym zespołom trudniej rozstać się ze sobą niż wielu nieudanym małżeństwom. Ta grupa nie była wyjątkiem. Rozpoczął się etap separacji i wzajemnego wytykania sobie błędów. Coś jak w filmie *Sprawa Kramerów*. W tym czasie mieszkaliśmy razem z Marie. Znałem kilka riffów i w końcu zacząłem grać na gitarze w jej nowej formacji Rosita, którą współtworzyła z Em.

Na początku szło nam całkiem nieźle. Ludziom naprawdę się podobało, a po kilku pierwszych iskrzących miesiącach zacząłem myśleć, że może jednak zostanę bogiem gitary. Co z tego, że na scenie nosiłem marynarską czapkę i inne takie? Jednak pomimo porywających atrybutów scenicznych i tekściarskich umiejętności Marie stopniowo zaczynało nam brakować zapachu, pieniędzy, jedzenia i wszystkiego, czego potrzebuje zespół, by przetrwać i niepostrzeżenie nie rozbić się o ścianę totalnej obojętności. Wciąż czuję się nieco winny zaistniałej sytuacji. Za bardzo starałem się być jak Malcolm Young z AC/DC, podczas gdy wyglądałem jak sobowtór

Kojaka. W tamtym momencie było już dla mnie zdecydowanie za późno. Zmieniłem się. Obi-Wan Kenobi powiedział, że Darth Vader był „bardziej maszyną niż człowiekiem”. Parafrazując jego słowa: byłem już wtedy bardziej *roadie* niż muzykiem. Doszło nawet do tego, że proponowałem mojemu kumplowi Adrianowi, żeby zastępował mnie na gitarze, a ja mogłem wtedy spokojnie wyskoczyć na robotę przy koncertach. Miałem poczucie winy, ale wydawało się to jedynym słusznym rozwiązaniem. Byłem coraz starszy, a nie mogłem całe życie martwić się o swoją sytuację finansową. Członkowie Rosity, która ostatecznie zamieniła się w bandę nieszczęśliwców i zakończyła działalność, zgadzali się na moje przerwy w graniu. Po tylu latach mogę z przyjemnością przyznać, że nadal utrzymujemy dobre stosunki.

W tym czasie mojej przemiany (która miała miejsce w okresie, który jako dzieciaki nazywaliśmy „przyszłością”), Jeff Dray – mój kumpel i były tour menedżer Kenickie, który był również zaangażowany przy organizacji koncertów Rosity – odwoził mnie pewnego wieczoru do domu. Rozpoczęliśmy kolejną pamiętną pogawędkę, która przebiegała mniej więcej w ten sposób:

- Więc, Matt, co robisz jutro?
- Pieprzę to, stary. Mam wolne. Dlaczego pytasz?
- Chciałbyś mi pomóc przy koncercie?
- Czy ja wiem... Jestem dość zmęczony. Kto gra?
- Coldplay.
- Hm? Ten zespół Lisy Stansfield?
- Nie, ty pipo. Ona gra w cholernym Coldcut.
- No tak. Sorry... To kim oni są?

– Nowy zespół, podpisali kontrakt z Parlophone. Grają jako support przed Embrace w Blackpool. Zgódź się. Dobrze płacą. Poza tym będę miał cholernego kaca, więc byłoby dobrze, gdybyś prowadził.

Nie chciałem tej roboty. Byłem wykończony koncertami i na gwałt potrzebowałem odpoczynku. Ale pamiętajcie, że to właśnie Jeff w 1996 roku załatwił mi moją pierwszą pracę z zespołem Kenickie. Byłem jego dłużnikiem.



Nieźła bryka, tylko gdzie zmieścimy cały sprzęt? Coldplay pokonał korki podczas Pemberton Festival. Kolumbia Brytyjska, czerwiec 2008 roku

Do helikoptera! NYC Today Show, czerwiec 2008 rok





Pomyśleć, że cały sprzęt mógł kiedyś pomieścić jeden ford transit



Koniec fragmentu.

Zapraszamy do księgarni  
i na [www.labotiga.pl](http://www.labotiga.pl)

**EQN**

WYDAWNICTWO  
*SINE QUA NON*

